



DRAKULA CIEMNYCH ZAUŁKÓW

Napisał: Andrzej Zimniak

Ilustrował: Zdzisław Byczek

Telefon dzwonił od pięciu minut i jego dźwięk wydawał się Dracowi coraz bardziej natarczywy. Zwlekał z podniesieniem słuchawki jak najdłużej, dopóki cyklicznie nawracające wibracje nie wyprowadziły go z równowagi.

– Wiemy, że tam jesteś, Drac, i że wykonałeś już swoją dzisiejszą robotę – głos był niewyraźny i sepleniący, jakby kroś bał się rozpoznania i mówił z pełnymi ustami.

Wzdrygnął się. Przecież nikt nie mógł go widzieć, gdy przeciskał się zatechłymi ciemnymi zaułkami, a potem wracał do hotelu skacząc z jednego stromego dachu na drugi. Poza tym... teraz był już kim innym.

– Jeśli jesteście kapusiami, to i tak mnie nie dostaniecie, i wiecie o tym równie dobrze jak ja. Ta rozmowa nie ma sensu – starał się mówić spokojnie i beznamyślnie.

– Chwileczkę! – ktoś z tamtej strony podniósł głos, jakby obawiał się rozłączenia. – Jesteśmy z niezależnych, więcej nie musisz wiedzieć. Zejdz zaraz na ulicę, bo inaczej

przyjdziemy po ciebie, a wtedy byłoby to zbyt łatwe – ze słuchawki płynął nabrzmiały groźbą szept. – Więc co? Słyszysz mnie, Drac?

– Nie pójdę, mam dosyć! – krzyknął i cisnął słuchawkę, lecz wiedział, że pójdzie, że musi pójść, tak jak to już robił dziesiątki razy. Sprawiedliwość nigdy nie może czekać, ani, tym bardziej, ustąpić pola.

Telefon znów dzwonił, lecz on poszedł do łazienki i długo mył ręce, na których pozostały jeszcze czerwone pręgi. Lecz tym razem nie wytrzymał nawet pięciu minut.

– Przygotuj się dobrze, Drac – bulgotał głos – Jeszcze nigdy nie walczyłeś z taką bestią. Przygotuj się dobrze...

Znów rzucił słuchawkę i sięgnął do przewodu, aby wyrwać go z gniazda, lecz w ostatniej chwili zmienił zamiar.

W łazience zrzucił ubranie i wszedł pod strumień gorącej wody. Zmoczył szorstki ręcznik i zdierał nim z szyi zakrzepłą krew. Gdy skóra była już czysta, wytarł się i stanął przed lustrem.

I wtedy szklanki zadźwięczały w niklowanych uchwytach, jęklonie zawtórowały im szyby. Rozległy się tapnięcia, jakby potężny kafar uderzał w trotuar przed wejściem do hotelu.

Drac wciągnął głowę w ramiona, jak w oczekiwaniu na cios, lecz natychmiast wyprostował się i spojrzął w lustro. Stał przed nim człowiek drobnej postury, węższy w klatce piersiowej niż w biodrach, ciemny, z rozbieganym wzrokiem. Czy to naprawdę ja? – pomyślał. W tej samej chwili dudniące razy znów przetoczyły się ulicą, oddalając się jak tętent mitycznego cyklopa. Ściany zadrżały, a lustro przepołowiła czarna kocha pęknięcia.

Zaraz tu przyjdą – pomyślał i zobaczył, że ramiona mężczyzny w lustrze zadrżały. Już czas.

Przeszedł do pokoju i zgasił światło. I jak zwykle w ciemności natychmiast przypomniał sobie tamtą koszmarną noc, która odmieniła całe jego życie.

Potrzebował wtedy alkoholu, żeby nie myśleć, nie wiedzieć, zapomnieć. Miał pewność, że pełna świadomość zabije go lub wpędzi w obłąd. Więc pił coraz więcej, aż legł na ciepłym jeszcze piasku plaży, a w szeroko otwartych oczach miał morze gwiazd. Było to dawno, lecz czas nie zdołał zniweczyć wyrazistości wspomnień.

Hotelowe szyby jeszcze raz zajęczały ze strachu, stąpnięcia olbrzyma znów biły w ulicę jak wielotonowe młoty. Coś, z czym miał walczyć, nadeszło i zatrzymało się tuż przed wejściem. To coś było potężne i na pewno sięgało pierwszego piętra. Zaraz uderzy w okno, szkło pryśnie jak odłamki granatu... Już czas, najwyższy czas.

Drac skrzyżował ręce na piersiach i skoncentrował się, wygasił myśli, zatopił się w sobie. Jego ramiona powinny rosnąć, muskuły zawęźlać się, zmieniać strukturę. Teraz klatka piersiowa z wręgami gnących się żeber, tężejąca beczka, w której płonie zimny ogień. A potem łędwia, pośladki i nogi, pokryte twardymi jak kamień gruzłami. Jego szczęki są jak ze stali, ciało już nie jest ciałem, lecz skumulowaną energią, zdolną roznieść to miasto na cztery strony świata...

Wygasił myśli z wyjątkiem tej jednej: o tamtej nocy na plaży nad jeziorem. Leżał półprzytomny, a nad nim falowały gwiazdy, zupełnie jakby powierzchnia wody odbijała

się w niebie. Po wielu godzinach odzyskał tyle świadomości, by spostrzec, że gwiazdy spadają. Rozsypały się wokoło jak szuflada rozżarzonych węgli, padały na jego ciało, nie czyniąc mu jednak krzywdy. Były jak deszcz zimnych ognii, jak sprężyste kulki żółtego światła. A gdy ponownie zapadał w odrętwienie – przemówiły. Ich mowa dobiegała go znikąd i zewsząd, była chórem dziesiątków śpiewnych głosów.

– Spełnimy każde twoje życzenie, lecz musi ono dotyczyć tylko ciebie – pojedyncze dźwięki dopiero pod czaszką układały się w zrozumiałe słowa.

– Cofnijcie czas, zwróćcie mi córkę... – wykrztusił pijackim szeptem.

– Musi ono dotyczyć tylko ciebie.

– Chcę być wszechpotężny! – zaświtała mu nadzieja.

– Więc już nim jesteś. Nie ma na Ziemi istoty równej ci siłą fizyczną. Musisz tylko skupić myśli.

– Ale... dlaczego? Jesteście diabłami czy aniołami? – w stanie odurzenia zdążył już uwierzyć w swoją moc.

Odpowiedzią był daleki, ptasi śmiech.

– Ani jednym, ani drugim. Właśnie nazaczyliśmy cię. Jesteś cechowanym egzemplarzem w naturalnym środowisku, jak mównią wasi obserwatorzy. My też jesteśmy obserwatorami...

Gwiazdy uleciały i zajęły właściwe im miejsca na firmamencie, a Drac przespał połowę następnego dnia na plaży, gdzie małe dzieci obrzucały go piaskowymi kulami. Wczesnym popołudniem wstał i ruszył bez celu przed siebie. Nie wiedział, że w tej właśnie chwili podjął wyzwanie swojego nowego życia.

Lecz rzeczywistość nie pozostawiła czasu na wspomnienia. Potwór za oknem uderzył kilka razy w ziemię, po czym wymierzył cios w mur budynku. Posypały się szyby, zaskrzypiały spojenia ścian, gdzieś histerycznie krzyknęła kobieta. Dźwięki te urwały się jak nożem uciał, zapadła głucha cisza. Nigdzie, w całym mieście, nie zakłócił jej ani jeden głos. Nawet wiatr ucichł, jakby i on oczekiwał na nieuniknioną już walkę.

Drac poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Ten, który robi najwięcej hałasu, rzadko bywa najlepszy. A on naładowany jest niszczycielską siłą tak wielką, jak jeszcze nigdy dotychczas!

Dłonie zwinął w ogromne pięści. Z trudem przepchnął się przez drzwi. Dwoma susami znalazł się w hotelowym hallu.

Cyklopi tętent oddalił się, a jego echo zamarło w głębi miejskich uliczek. Przeciwnik uciek! Drac zaniósł się chrapliwym śmiechem, przypominającym ryk dzikiej bestii. Potoczył ślepiami dokoła: nigdzie nie było żywej duszy, wszyscy ludzie pochowali się w mysie dziury, na placu boju pozostał on i potwór. Potwór, którego zaraz roznieście na strzępy!

Czuł pulsowanie mocy w rozrastających się barach. Ruszył ku drzwiom, lecz okazały się dla niego zbyt ciasne. Napał na otwór, wyłamując futrynę i krusząc mur. W kłębach ceglanego pyłu wyskoczył na zewnątrz, rozglądając się czujnie, gotów do odparcia nagłego ataku. Lecz nikt nie atakował; ulica była pusta i ciemna jak głęboki wąwóz.

W żadnym oknie nie paliło się światło, lecz ich mrok pełen był podnieconych szeptów i naporu spoconych ciał. Wiedział o tym dobrze i czuł teraz pogardę dla małych, głupich ludzi, bezbronnych jak młode kocięta, a żadnych choćby widoku krwi i mordu. Wyłamał kawał muru i zamierzył się celując w najbliższe okno; odpowiedzią był zduszony krzyk przerażenia.

Nagle znieruchomiał. Odległe dudnienie przeszło w powolny, głuchy tętent, od którego drżały budynki. Łoskot narastał, aż wreszcie zza zakrętu wyłonił się potwór.

Zwierz podobny do prehistorycznego nosorożca szarżował w pełnym pędzie z głębi ulicy. Jego barki sięgały wysokości pierwszego piętra, kopyta kruszyły asfalt, a potężny łeb, zbrojny w dwa wyszczerbione rogi, bestia opuściła niemal do ziemi, szykując się do pierwszego i ostatniego uderzenia.

Drac uniósł oburącz całą swoją moc w prawe ramię, które wyglądało teraz jak dziesiątki walczących węzów, obciążonych elastyczną błoną skóry. Zacisnął pięść, zdolną do rozbicia najgrubszych murów. Znieruchomiał, pochylił się lekko do przodu i oczekiwał przeciwnika.

Był spokojny spokojem niepokonanego. Brał już udział w dziesiątkach pojedynków, choć musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie zmierzył się z podobnym monstrum. Z tych spotkań zawsze wychodził zwycięsko, nic nie oparło się uniestwiającej sile straszliwej

pięści. I chociaż zauważył, że w miarę jak rosła jego moc, coraz potężniejsi stawali się przeciwnicy, nigdy nie obawiał się ani przez chwilę. Tylko czasami nachodziło go znużenie, albowiem nieustannym zmaganiom nie było końca.

Więc i teraz bez trwogi zamierzał się do ciosu, zdolnego zgruchotać kręgosłup największego potwora. Wtedy nagle stało się coś dziwnego.

Pysk bestii pokrył się siecią żółtych zmarszczek, zafalował, czerwone ślepia i spieniona paszcza znikły. Na ich miejscu pojawiło się coś innego, znajomy zarys, którego nie zdążył rozpoznać. Ogarnął go słodkawy odór oddechu zwierza, lecz nie uderzył. Uskoczył gwałtownie w bok, potężny łeb odwrócił się za nim, lecz nie mógł dosięgnąć go żadnym z rogów. Potwór przebiegł jeszcze przynajmniej sto metrów, zanim wyhamował swój pęd i zawrócił. Znow szarżował z opuszczonym do ziemi łbem, ale zamiast krwawych ślepi i płaskiego czoła miał ludzką twarz.

To była twarz chłopca, którego Drac zabił dziś wieczorem. Dopadł go w ciemnej uliczce, gdy na czele gangu kilkunastu młodzieńców zaczepiał dziewczyny. To jego krew musiał zmywać później ze swojej skóry, a może była to krew któregoś innego z grupy. Zabił ich wszystkich, gonił uciekających po zaułkach jak lis goni kurczaki, miażdżył po kolei kruche ciała w łapach wielkich jak czepaki koparki. Robił to samo od lat, w setkach miast i miasteczek, a gdy zabijał, miał zawsze przed oczami małe, drobne zwłoki swojej córki.

Czarny potwór był coraz bliżej, a tuż za sterzącymi ostrzami rogów błyszczała biała twarz chłopca. To już nie był prowadzący bądy, lecz któryś z jej dalszych członków; teraz z każdym krokiem bestii pojawiała się inne oblicze. Lecz chłopięce twarze odrzuciły niedawne cyniczne maski i patrzyły już tylko z wyrzutem.

Rzucił się na bestię. Jedną ręką chwycił ją za róg i przygiął ogromny łeb ku ziemi, drugą zamierzył się do ostatecznego ciosu. I wtedy zobaczył przed sobą twarz córki: mała okrągła twarzączka, filuterny uśmiech, kokardy za uszami. Tak właśnie ubrana była ostatniego dnia.

– Przyszłaś do mnie. Dlaczego dopiero teraz? – przerwał walkę i wyciągnął do niej rękę. I wtedy potwór przebił go rogiem.

Córka uśmiechnęła się smutno i jakby przepaszając, a potem rozwiąła się, znikła jak złudzenie, którym zapewne była. Pozostały kaprawe ślepie i pokryta pianą paszcza, no i wyszczerbione, pomazane krwią rogi. Pomazane jego krwią.

Wszystkie okna rozbiły się wesołym światłem, z dzwonieniem szyb otwierały się ich skrzydła, w nocną ciszę buchnęła wrzawa mieszanych głosów. Obok nawoływań mężczyzn i podnieconej gadaniny kobiet nie brakło pisków i chichotów dzieci. Oto on, legendarny zabójca, wszechpotężny nadczłowiek, leży w pyłe drogi we własnej krwi!

Lecz bestia najwyraźniej nie miała zamiaru rezygnować. Z płonącymi ślepiami utkwionymi w rannym, wycofywała się tyłem tylko po to, aby zyskać pole do rozbiegu.

Drac ścisnął dłońmi rozerwany brzuch. Palce ślizgały się po krzepnącej krwi, jadowity ból kąsał kręgosłup. To chyba koniec – pomyślał, lecz skoncentrował się, co przyszło mu z największym wysiłkiem. Wtedy nareszcie poczuł, że siła wraca w jego ciału.

Wstał, potknął się i przyklęknął na jedno kolano. Podniósł się i wyprostował, lewą dłonią ściskając ranę. Czarny, wielki jak kamienica zwierzał się u wylotu ulicy, dysząc ciężko. Rozpoczynała się druga runda, na pewno już ostatnia.

Drac ruszył ku niemu, ciężko powłócząc nogami. Lecz każdy krok był łatwiejszy, rana zblizniała się w oczach, znów napędzała go moc. Nie bał się już, nie miał przecież równych sobie w całym ziemskim świecie!

Zwierzał się naprzeciw jakby z wahaniem, w jego ruchach nie było już poprzedniej pewności. Po potężnym cielsku przesunęły się prostokąty żółtego światła, padającego z galerii otwartych okien. Mali, drapieżni ludzie wstrzymywali oddechy, przeczuwając rychłe ukłucie rozkoszy. I nie omylili się.

Drac skoczył naprzód, sięgając rogu. Olbrzym zrobił unik, potrząsając łbem i odwracając go w bok, odsłaniając przy tym szyję. I to wystarczyło, choć nie trwało dłużej niż ułamek sekundy.

Skok, jeszcze jedno odbicie od płaskiego czoła i był już na karku bestii, zanim ta zdążyła wykonać najmniejszy ruch. I zanim potwór przewrócił się na grzbiet, aby tarzając się zmiażdżyć śmiałka, Drac uderzył. Natychmiast poprawił, i chociaż słyszał gru-

chot pękających kości, jeszcze raz spuścił straszliwą pięść, która w przeszłości prze-rwała był tyłu istnieniom.

Potwór w niebotycznym zdumieniu zadarł łeb, lecz był to już ruch spowolniony, mający coś z nieskoordynowanych, przedśmiertnych wierzgnięć. I zanim przyklęknął, a potem zwałił się ciężko na bok, człowiek zesko-czył z góry cielska i odsunął się na bezpieczną odległość. Zwyciężyłem – pomyślał bez satysfakcji – a właściwie pokonałem przeciwnika w jeszcze jednym, kolejnym starciu. W ciszy pełnej wstrzymanych oddechów zwycięzca odwrócił się i powoli odszedł, aby w samotności przetrwać gorzyc swojego triumfu.

Tam, dokąd kierował swe kroki, gości światła i zatrząskiwały się okna. Nie zwracał na to uwagi, zawsze tak było i zdążył się już przyzwyczaić.

Idąc przez ciepłą noc, pełną zapachu kwit-nących ziół i wyziewów gnijących odpad-ków, potarzał sobie po raz tysięczny, że jego córka żyje, śmieje się, biega teraz po jasnym pokoju, pokazując swoje nowe kokardy. Że to niemożliwe, żeby została uduszona i zgwałcona tylko za stawianie oporu. Że młodzi ludzie, ci piękni i mądry chłopcy, nie byłiby zdolni do chowania w sobie bestii. Że świat jest życzliwy, a człowiek dobry ze swojej natury...

Na głębokim, nocnym niebie falowało morze gwiazd. Pod stopami czuł miąższość piasku. Jezioro było ciche i gładkie jak tafla szkła.

Niepotrzebna już moc uchodziła z niego, Drac znów stawał się małym, niepozornym człowiekiem, dźwigającym swój własny, wielki krzyż.

– Dlaczego nie przyjdziecie? – spytał bezradnie, kładąc się w piaskowym łożu.

Lecz gwiazdy milczały, ludzkie sprawy pozostawiając ludziom.

– Myślałem, że wystarczy mieć moc, by przerosnąć świat. Lecz właśnie wtedy świat przerosł mnie.

Lekki wiatr zaszeleścił trzciniami, jakby duchy dalekich gwiazd naradzały się, a potem nagle zamilkły.

Głos pobiegł po tafli jeziora i przepadł, nawet echo nie powróciło na brzeg, a gwiazdy pozostały na swoich miejscach na firmamencie.

Bo one spadają bardzo rzadko.